

HOMO SUM...

Napisal: Henryk W. Gajewski

Ilustrowal: Zygmunt Zaradkiewicz

Cień promu, olbrzymi strzałczan, rósł w oczach... Wreszcie pilot posadził pojazd na lądzie. Manewr udał się jak na popisie. Lecz zrazu blask olśnił załogę. Ulewa żaru i światła kazała nałożyć szkła na oczy. Pomogło niewiele. Sprawilo jednak ulgę.

Wyszli na pustynię. W oddali widzieli chylące się pasma dymów. Przed nimi parów kusił do wejścia półmrokiem.

– Jak tu żyć? Warunki tutaj nie do zniesienia.

– Nie biadol!

– Przecież i tu muszą być noce.

– Jazda do kryjówek!

Tym krzykiem zapędził Holm załogę do pieczary. Chciał przeczekać dzień. Lecz słońce nie myślało opuścić tej półkuli. Jakby głosiło planecie, że niekiedy wybiera się spać, ale dziś tu poświęci do odwołania. Nareszcie odmaszerowało na zachód. Skądś nadeszło głuche milczenie mroku. I od razu nastąpiła noc, wysoka, widna. U stropu zatliły się zimno gwiazdy. A satelita planety, jednak, jakiś napuchły, wszedł za słońcem, jak na sznurku.

Cybernetyk uroczyście rozejrział się po niebie.

– Noc jak u nas.

– Nie tak znowu... Coś tu nie tak, tu jakoś obco, odstręczająco. Nawet ten księżyc...

Każdy zadarł głowę ku górze. I każdemu w oczy zaświecił nocny włóczyk. Wisiał z niezmaconą powagą. Nad samym widnokregiem. Zimno jaśniał. Był naprawdę obcy. I równie obco zdawało się witać ich pełganie gwiazd. Niby znane, jednak jakby inne, bo wzór nie taki. Jakby odbicie w krzywym lustrze.

– Szkoda marudzić, ruszamy!

I Holm powiódł gromadkę zwiadowców ku ostrosłupom, których cień zaćmił poświatę nieba.

– Symetria, zatem dzieło istoty rozumnej, nie może być inaczej.

– Tak myślisz? A plaster pszczeli? Może z laboru, co?

Holm słuchał anonimowej gadaniny. Szedł na czele. Nie widział grupy. Dolatywały go tylko słowa. A tego nie cierpiał. To znaczy: nie lubił gadania przed czasem. Taki już przyszedł

na świat. I taki zejdzie ze świata. Ale to dopiero daleka przyszłość. Na razie jest noc upojona własnym snem.

Wtem nad nimi zaszarżowały kolory ognia. Rozbarwiły niebo. A nadleciały zniecka. Ział ogniem każdy kierunek róży wiatrów. Mknęły płomienie donikąd. Topiły się w ciemni. Huk rwał tę noc na sztuki.

– To na naszą cześć...

– Raczej burza, a może wulkan?

– Przypomina mi utlenianie grup nitrujących...

– Cicho tam, uczeni, pilnuj się mnie, jeden z drugim.

– Takich zjawisk nie ma w przyrodzie...

– Powiedziałem już raz: spokój!

Holm wiedział: nie znane, to niepewne. Lepiej zatem trzymać się z daleka. Dlatego zagarniał niesforną gromadkę uczonych, niby żaków na majówce; oni tymczasem milkli, gdy ich karciał, podwajali krok, zwierali szyk, a potem znów podnosili głosy. A przewodnik szedł i rozmyślał frasobliwie. Oto szef go wplątał w kabałę. Ale w taką, która nie wychodzi. I co teraz?... Dlaczego ludzie są tacy, jacy są? Niby jednakowi, a jednak różni. Jedni napuszeni jak emfaticzne kazania, drudzy prości jak wzniosłe idee; są staroświeccy jak antyk, nowocześni jak tandeta. Niektórzy to postacie z opery komicznej, inni przypominają urzędowe księgi, a znów inni są jak tomiki lichego poety, ale taki szef – to księga zagadek. Holm wiedział: szef należy do rozkosznie zadowolonych z życia. Zawsze w pogodzie ducha i z poczuciem humoru. Nigdy nie zawiadła go zimna krew. Śmiał się pod tchnieniem grozy. Wyplątywał się z każdej, nawet karkołomnej przygody. Nieodmiennie dopisywał mu łut szczęścia, ten z przysłowia, często lepszy niż funt rozumu.

Holma zamustrował do załogi na etat inkluza. Tyle mówiła plotka. Takie pogłoski rozpuszczał ponoć cybernetyk pokładowy, przemądrzały intelektualista. Nikt rozsądny nie podzielał jednak tej opinii. Dlatego i Holm kwitował takie docinki po swojemu:

– Cybernetyk... ba, ojciec bałwanów na uesach, same bałwany!

I zaraz pozował na osiłka, który łatwo może rozłożyć na macie pół tuzina cybernetyków

i siódmego na dokładkę. Cybernetyk zaś lekce-
ważył sobie wszelkie pogrożki z powagą ptaka
w klatce: nie pożresz mnie, osłoni mnie krata.
Czuł się bezpiecznie... Bo i nikt nie kwapił się
z korekturą osobowości cybernetyka.

- A Holm?... Nawet dzieci znały Holma.
Był ostatnim Mohikaninem, to znaczy: ostat-
nim nieukiem w czasie kultu wiedzy. A powo-
dy, dla których naprawdę został zwerbowany,
miały inną naturę. O składzie załogi decydo-
wał szef. I właśnie on, nagabywany o Holma,
odpowiedział:

- W gronie ultraumysłów przyda się pomy-
ślniek zdrowy, nie pomącony teoryjkami... na
odtrutkę.

Dlatego cudacznie dobrała się ta załoga.
I może nie dobrała się wcale? Jeszcze w prze-
dzeniu startu w nieznanie narastały kontrower-
sje. Potem doborowy zespół rozpadł się na
podgrupy. Na rzeczników tezy i zwolenników
antytezy. I tarcia wezbrały falą. Jedyne szef
nie opowiadał się za nikim. Nawet nie okazał
ciekawości dla sporu uczonych. Wyraźnie
unikał jałowych debat. Podobnie i Holm. Lecz
on... słuchał przełożonych, wierzył w szefa jak
w ojca, jednak myślał swoje i opatrywał myśli-
wski ekwipunek.

Niekiedy szef zagadywał do Holma:

- Słuszność mają obie strony, ale po części;
prawda leży pośrodku. Bez wątpienia... tak,
życie rozumne w kosmosie dopieka zagadką od
wieków, nieprawdą, mój przyjacielu?

Holm objawiał na obliczu minę filozofa.

- Bo ja wiem?... O rozumne istoty coraz
trudniej, głupców za to nie brak, no nie,
szefie?

Szef uśmiechał się i milczał, gdy tymczasem
Holm nie przeszkadzał sobie w zajęciu.

- Ty, a na co ty zapolujesz?

- Czy ja wiem, szefku? Trafi się nierozum-
ne, to upoluję, nie daruję i rozumnemu, każde
ułowię jak nic. Co mi tam... Mnie bez różnicy.

A przedmiot sporu, wiekopomny problem,
odwieczny jak samo życie, właśnie tyczył się
zagadki życia w kosmosie - mnogości zamiesz-
kanych światów; pasjonował uczonych, rozpa-
lał ich wyobraźnię do białego żaru, posiewał
niepokoje, urozmaicał monotonię lotu w ga-
laktyce.

Niebolot podązał w tym czasie na spotkanie
z białym słońcem. Brał namiar na czwartą
w areopagu planet, bo niegdyś odkrył ktoś tam
materiał na rozwój rozumnego życia.

Statek szybował więc na przecięcie orbity
wybranej planety. W pobliżu niej wszedł na
kurs po stycznej. Odstawił napęd wielkiej
mocy. Włączył silniki na bieg jałowy. Jął
orbitować po elipsie, której ognisko wyznacza-
ło cel. Załoga wyległa zaraz na pomost, chciwa
napatrzeć się widoków kosmosu. Holm wy-
przedził każdego z ciekawych tej pustki w za-
sięgu dłoni. Przecież znalazł się w kosmosie
pierwszy raz. I dlatego to wszystko, co po-
strzegął naokół, niosło mu posmak tajemnicy
bezmiaru, którego środkiem stał się toroidalny
kolos, dziwnie skarłały w bezkresie, pozornie
zawisły na warkoczu światła. Holm jednak
rozumiał złudzenia. Wiedział, że poświata,
ubita i złożona w pęczek, jest wynikiem strat
energetycznych w silniku, że ciągną za sobą
świetlne pasmo na pół nieba już od startu; że
zjawisko to nie wyraża niczego.

Szef zwołał wtedy załogę do operacyjnego.
A kiedy zeszedli się kosmonauci i skupili wokół
pulpitu, przemówił do nich:

- Nie taję tego, co każdemu znane: ten
układ jest celem wyprawy. Tu spodziewam się
wytropić życie rozumne lub jego ślady w histo-
rii planety, jako dokonania dłonią istoty my-
ślącej. To nadzieja... tylko nie wiem ani nie
odgaduję, co tam czyha na planecie, którą
zamierzamy wziąć pod szkiełko. Na razie ogła-
szam stan pogotowia... Ostry dyżur dla wszys-
tkich!

Potem szef powysyłał sondy. Po jednej na
planetę i satelitę planety. Oczekiwał raportu.
Liczył na okrucy, odrobiny wiadomości, na
próbki pobrane na chybił trafił, niby pozba-
wione sensu elementy, z których daje się wy-
dedukować wcale wierny obraz. A metronom
pokładowy równo odliczał kroki czasu.

Wreszcie nadeszły meldunki wstępne. I ra-
czej nie zwiastowały rewelacji. Po prostu jakby
zmówiły się podać niepokieszające nowiny.
Satelita to martwość, zmarzłość, temperatura
zabójcza, nie występują na nim warunki do
wegetacji dowolnych form. Za to trzecia plane-
ta, liczona od białego słońca, ogniskowała

uwagę na sobie. Wprawdzie początkowo nie nadeszły sygnały od zwiadowcy, ale nazajutrz dotarł raport – sonda przestała istnieć w momencie wnिकania w atmosferę. Wtedy szef zawyrokował:

– Stać sondy aż do skutku!

Pilot raket pochylił się nad pulpitem. I zaraz z wyrzutni torusa wystrzelił cały rój sond – zwiadowców. W przestrzeni uformowały szysk schodowy. Potem zakreśliły ciasny wiraż. Nareszcie powędrowały orbitować naokoło trzeciej planety białego słońca, które bluzgało bąblami erupcji.

Zwiadowcze rakiety poszły... i przepadły. Żadna nie nadała meldunku. A metronom postukiwał miarowo, aż uspił Holma. Bo myśliwy znużył się czekaniem. Teraz zdrzemnął się błogo. Ocknął go dopiero głos komunikatu. Ten jedyny, przechwycony raport, naelektryzował załogę. Ożywiła się nadzieja optymistów. A głos nawoływał:

– Jest woda, cztery piąte globu zalewa ocean, tlen w atmosferze, wykrywam ślady fotosyntezy!

Ale późniejszy komunikat podzielał minorowo na załogę:

– ...atmosfera ma w składzie azot i tlen, silne zanieczyszczenia toksyczne, rodzaj skażeń na razie nie znany, na wodzie olej skalny i jego pochodne, w troposferze polatuje stront, ślady niesterowanej reakcji termojądrowej... w obłokach tlenki azotu o znacznym, nienaturalnym stężeniu...

Tyle z penetracji wstępnej. Potem szef odwołał sondy. Nadciągały do bazy. Ale nie wszystkie. Nieledwie połowa. Reszta zapodziała się gdzieś tam, jakby w atmosferze, lub niżej; nadajniki milkły w połowie transmisji. Pilot, który wiódł rakiety, był niepokieszony.

– Nie wiem, co to się dzieje? Takie doskonałe rakiety, niezawodne w działaniu; co się tam z nimi wyrabia?

– Nic. Po prostu nic.

– Jakże to? Wyparowały? Rozwiały się jak obłok? Stopniały jak śnieg w ukropie? I ty jeszcze śmiesz mówić, że nic?

– Może spłonęły w atmosferze? Duża zawartość ozonu, nadmierna prędkość, jeszcze coś tam i jeszcze coś... potem skutek.

Szef mocno powątpiewał w domysły. Był nieprzejednany: nie ma dowodu, jest zgaduj-zgadula, zabawa bez powagi, filozofowanie. Nie omieszkął powiedzieć tego wprost. **W końcu zakazał szerzenia domysłów.** Zwołał za to krąg równości. Pozwolił wygadać się każdemu. W końcu przymrużył prawe oko. Potem długo błędził wzrokiem po twarzach załogi, wahał się, omijał spojrzenia, które zamazywały się pominięte, i wreszcie przeniósł oczy na łowcę.

– Na przewodnika wycieczki po nieznanej planecie powołuję Holma.

Nie zaprzeczył nikt. Raczej szmer ulgi dał się słyszeć niż sprzeciwu. Aż Holm pomyślał żałośnie: żaden delikates takie wyróżnienie. Ale co robić?...

Właśnie: co dalej? Na razie wiódł zwiad ku widocznym ostrosłupom. Kierował nim nieomylny już nawyk. Znał te budowle. Spotykał na bezludnych wyspach. Na obu ojczystych planetach. Nawet nie pomyślał o tym, skąd wzięły się takie same tutaj, na tej nieznanej planecie. Bo i po co? Nie jego rzecz. Teraz przed nimi noc dziwnie piękna. Majestat budowli wabi ku sobie. Zza krawędzi wyszedł cień. Herkulesowa sylwetka boga Zielonego Słońca. Holm widywał te posągi. Niszczęła w opuszczeniu. Zjadała je dżungla. Były stare jak pamięć. Najstarsi ludzie opowiadali, że te czworonogi z głową człowieka były zawsze, i od początku, stare.

– A ten skąd się tu wziął?

Holm spojrział na mówiącego. Był to geolog i archeolog, musiał dobrze znać takie posągi. Śmiało więc podążył na spotkanie z kolosem. W drodze spojrział w górę. Ujrzał zeszcpane oblicze kamiennej rzeźby. Brakowało nosa. Lecz wejście, pomiędzy przednimi łapami, które jak kolumny wspierały ciężar łba, okazało się zasypane. Holm przystanął i uśmiechnął się do grupy.

– Zawsze to samo. Zupełnie jak u nas.

Potem poszły w ruch kieszonkowe krety. Jeszcze parę chwil... i korytarz zionął powietrzem zastałym od wieków. Holm skinął dłonią w nakazie. Ruszyli za nim. Weszli w podziemny świat. Korytarz w skale wiódł pochy-

ło w dół. Niekiedy dźwigał się wypukliną. Potem znów opadał. A na ścianie przesuwały się ryty naskalne, których znaczenia nikt nie próbował odgadywać. Zatrzymali się na ganku, skąd rozwiódły się odnogi głównego korytarza.

– Mam propozycję – zagadał Holm. – Obóz założymy tutaj. W korytarze niech idą ochotnicy. Zbiórka na koniec dnia. Nocą wyjdziemy w pole.

Po czym dał innym przykład, kładąc bagaż na spągu i układając się z głową na kokonie zwiniętej sieci. Jednak nie odpoczywał długo. Przemogła w nim ciekawość nowego świata. Wstał, podążył śladem geologa, którego szanował, ale sam nie wiedział dlaczego. Dogonił go wnet. Poszli razem. Na milczka... Dopiero po długiej chwili Holm odważył się spytać: – Dlaczego takie same kompleksy znajdowałem u nas, na opuszczonych terenach?

– U nas budował je Liczman. Tu zapewne też on.

– Nie słyszałem o nim.

– To dawne dzieje... – westchnął archeolog i uciął.

Szli znowu bez słowa. Lecz Holma korciło, by dowiedzieć się czegoś o Liczmanie. Tylko że nie wiedział, jak nawiązać rozmowę na ten temat. W końcu nie wytrzymał, zagadnął wprost:

– A co on za jeden, ów Liczman?

Archeolog nie odpowiedział zrazu. Wpierw długo pocierał dłonią szyję. Potem rozejrzał się bacznie. Wreszcie, zniżywszy głos do szeptu, jak gdyby nie byli sami w podziemiu, zaspokoił ciekawość łowcy.

– Żył niegdyś taki matematyk, dziwak, być może pomyleniec, który lubił modelować. I do dziś nie wiemy: czy to ktoś mający bzika, czy to uczony; toteż wymazaliśmy jego teorie z podręczników. A te budowle, które nazwał on piramidami, są właśnie takim redukcyjnym modelem galaktyki. Z tym jednak kłopot, że nie dokończył żadnego, bo stale zaczynał od początku...

Wędrowali teraz pochyłym chodnikiem pod górę. Archeolog rozprawiał przerywanym od wysiłku głosem:

– Widzisz te malunki na ścianach? To his-

toria tego świata w obrazkach. Nie wiem dla kogo ją namalował. Ale wiem, że to pseudohistoria, bo wyprzedza wszechczasy. Jest po prostu napisana na zapas – do końca świata. A to już nie nauka.

Korytarz, którym szli, łączył się z wysoko sklepioną komnatą. Pośrodku stał kamienny monolit. Cały w płaskorzeźbach. Ze ścian spoglądały na nich postacie, wielookie reliefy, czy rozbudzonych zwierząt. Wtem osłepiła ich luna bijąca z odnogi korytarza.

– Co to? Czy to już dzień? – zdziwił się uczony.

Holm jednak, czujny jak zawsze, położył palec na ustach.

– Cichooo...

I bezszelestnie, jakby na łowach, posunął się ku światłu. Za nim, również na palcach, skradał się archeolog. A kiedy podeszli bliżej, gdy dostroili filtry na oczach, by cedziły światło w odpowiedniej normie, wówczas pojawiła się im siedząca ludzka postać.

– To ktoś z naszych – szepnął Holm.

– Nie. Bo na co mu światło?

– Prawda... ale to człowiek jak my.

– Hm... nie jestem pewny. Spójrz na profil jego twarzy i na łysinę, ma sylwetkę jak klasyczny posąg; a tyś, przyjacielu, i owłosiony, i piegowaty, i nos masz płaski jak rozdeptany placek...

W tym czasie, kiedy oni dzielili się uwagami, planetyda mówił coś do czarnej skrzynki z połyskliwym przętym. A skrzynka odskrzekiwała mu ostro. Przypominał ten dialog kłótnię z automatem. Tak pomyślał Holm. Ale połapał się zaraz. To tylko łączność radiowa. Planetydzi porozumiewali się na odległość. W przerwach tej rozmowy siedzący planetyda popijał ciemny płyn z pojemnika w kształcie dużego jajka. Takich pojemników stał obok pełny kosz. Co widząc, Holm podpełził ukradkiem i złowił jeden z pojemników. Zdobycz pokazał archeologowi. Ten zaś odetkał zawór. Powąchał. I zadziwił się niepomiernie.

– To rozpuszczalnik... albo odczynnik, po prostu alkohol. Żadna rozumna istota nie weźmie tego do ust. Za nic. Przecież ten związek działa destruktywnie na żywe białka.

– A może on się konserwuje?

– Nic nie wiem, nie rozumiem, jestem oślepiiony – mamrotał archeolog.

– Zatem upoluję toto, skoro nierozumne...

I zanim archeolog zdołał przeszkodzić, planetyda już leżał jak sparaliżowany, óplatała go sieć drucików, udaremniającą każdy ruch.

– Stało się – westchnął uczoney. – Cóż, nadam teraz meldunek: zabezpieczyliśmy okaz nieznanego gatunku, pozory przemawiają, że mamy do czynienia z istotą rozumną, pewne fakty przeczą temu, prosimy o wskazówki, co mamy robić dalej.

Holm spoglądał na archeologa z uznaniem.

– Dobrześ to pomyślał.

A potem obaj zajęli się pojmaną istotą. Planetyda odwzajemnił im ich zainteresowanie. Rzucił im wzgardliwe spojrzenie, po czym wycharkotał:

– Zabijcie mnie, ale nic wam nie powiem i tak...

Kieszonkowy tłumacz Holma przełożył natychmiast jego słowa. Tym tłumaczem posługiwał się Holm w rozmowach z uczonymi, których nie zawsze rozumiał, ponieważ nadużywali naukowej terminologii w sprawach dnia powszedniego.

– On jest niepoczytalny, to narkoman, wziął nas chyba za omamy z dna swojej wyobraźni – tłumaczył archeolog.

A tłumacz zgodnie z programem przełożył słowa uczonego na język planetydy, który zareplikował natychmiast:

– Nie zgrywaj się, jesteście z wywiadu, udało się wam... Napadliście nas podstępem, ale wasze rakiety zostały rozstrzelane już w stratosferze, teraz kombinujecie jak podebrać sztab, ale to się wam nie uda. My i tak zwyciężymy, po naszej stronie leży cała prawda...

Planetyda szarpnęła się w więzach. Ale zniechęcony rażony uspokajaczem. Przymknął oczy. Oddychał ciężko, jak człowiek po wielkim wysiłku.

– Dogadać by się można, ale jak?

Archeolog postukał palcem w czaszkę. Potem uniosł ramiona w znaku rezygnacji. Jednak Holm nie dawał za wygraną.

– Słyszałem, że psychotropy po przedawkowaniu wywołują reakcję przeciwną. Dajmy

mu jeszcze tego rozpuszczalnika. A nuż poskutkuje?

I nie czekał na zgodę uczonego. Zaraz przytknął wylot pojemnika do ust planetydy i napałił go obficie. Pojmany krztusił się i pluł, ale lękał, toteż wzrok mu zalśnił ożywieniem, na twarz wystąpił rumieniec.

– Uuuu, aż lepiej widzę na oczy. Ale, ale... ktoście wy? Coście za jedni? Takich nie ma na Ziemi!

– Zgadłeś, bracie, ale są w kosmosie. Jesteśmy z układu Zielonego Słońca małej galaktyki – odpowiedział archeolog. – Naokoło białego słońca krąży osiem planet i małe sub-słonko, właśnie to nasze, Zielone, z własnym zespołem planet, w którym zamieszkujemy cztery.

Archeolog czuł się uczniem aż po czubki włosów. Ekscytował się zaszczytem pierwszego, naukowego kontaktu z istotą rozumną, jakby bliźniakiem z galaktyki. Byłby jeszcze dalej tłumaczył tuziemcowi arkana wiedzy, objaśniał podstawy kultury i cywilizacji, lecz przerwał mu Holm:

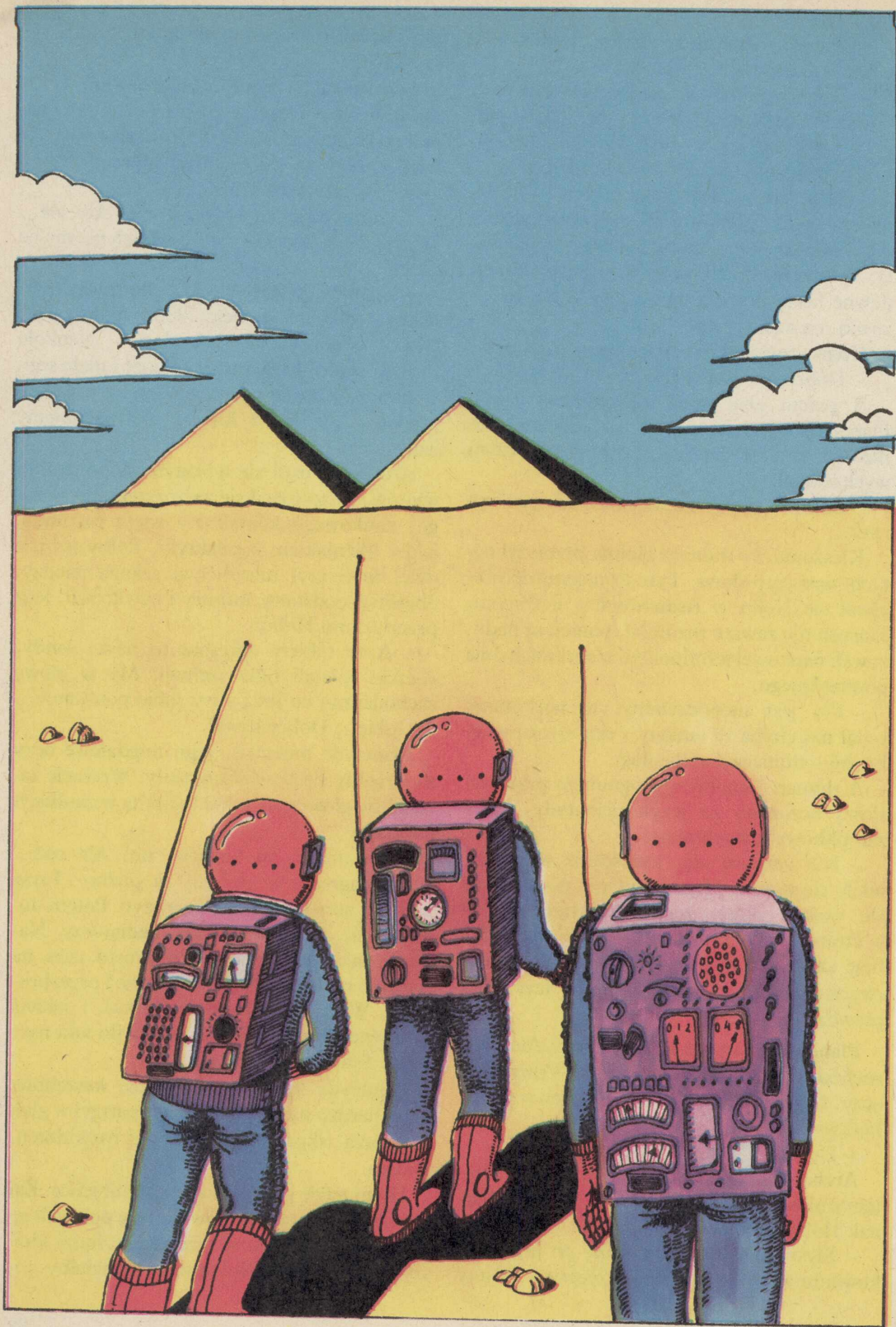
– A te rakiety agresora to nasze sondy. Aleście splatali figła szefowi. My w głowę zachodzimy, co jest, a wy sobie polowanie... To lubię... Dobry kawał.

Planetyda oniemiał. Jego migdałowe oczy zaokrągliły się i wyolbrzymiały. Wreszcie zaśmiał się głośno, aż pobudził echa w zaułkach korytarzy.

– To dobre, to historia, no! Ale cóż... wojna, agresja w pędzie, za późno. Teraz musimy strzelać, zabijać, walczyć. Potem dogadają się dyplomaci. Będą mediatorzy. Nastanie jakiś tam pokój. Po prostu czas na złapanie oddechu. Na dozbrojenie i przezbrownienie. W końcu przyjdzie czekać... jakiejś stosownej chwili na zaskoczenie. Bo taki nasz świat. I takie mamy czasy.

Planetyda zakończył opowieść westchnieniem bardzo ludzkim. Umilkł i patrzył w głąb korytarza, skąd snuły się smugi rozwidnień. Dniało.

Holm nagle posmutniał. Uwolnił jeńca. Żal mu się zrobiło planetydów, którzy polowali na siebie jak zwierzęta w rezerwacie, ludzi bliższych mu niż współplemieńcy. Chciałby po-



móc im. Nie wiedział jak. Daremnie zachodził w głowę, przebierał w myślach, nie wymyślił niczego. Tymczasem planetyda odkorkował pojemnik.

– Wypijcie za zdrowie i pomyślność!

Archeolog zachnął się i jał odżegnywać od poczęstunku. Holm jednak przyjął naczynie, wytoczył kilka kropel na język, posmakował doznań, po czym łyknął porządnie. Od razu nabral wigoru. Teraz na pewno uporałby się z każdym dylematem. Tylko że czasu nie stało. Dzień zaglądał do piramidy. Mury dygotały od wybuchów. Zagadał nadajnik planetydy. Ten schylił się do mikrofonu. Wówczas błysnęły mu złote gwiazdki na kołnierzu.

– Tyś może kosmonauta?

– Skądże – odparł zdumiony planetyda.

– Dlaczego więc świecisz gwiazdkami?

– Ach, o to wam idzie; dowodzę ludźmi, rozkazuję, to mój znak starszeństwa.

– To jakiś szef sporego formatu.

Holm nareszcie wpadł na pomysł. Jeżeli nie może pomóc innym planetydom, osłoni przynajmniej tego szefa z gwiazdkami, do którego poczuł przyływ sympatii.

– Weźmiemy go z sobą.

– Po co?

– Przyda się, uczeni go opiszą, skatalogują i, co tam trzeba... dla uznania odkrycia.

– Opiszą, skatalogują – przedrzeźniał archeolog – i przylepią karteczkę: „homo bibens”... potem on zamieszka w zoo, a dzieci będą podawać mu do klatki alkohol; aleś wyodrębnił, niechże cię...

Na szczęście planetyda nie zrozumiał wymiany zdań łowcy z uczonym. Holm przezornie wyłączył tłumacza. Wtrącał się jednak do rozmowy. Gestykulował żywo. Koniecznie chciał skupić na sobie ich uwagę. Nareszcie udało mu się to, tłumacz powtórzył jego słowa.

– Podobacie mi się, chłopcy, ale zmykajcie na swoją planetę. Tych z ochrony tylko parzyć. Złapią was... a potem ambaras. Nikt nie uwierzy ani mnie, ani wam, że przybysze nie z tej Ziemi złożyli wizytę właśnie mnie. Gdyby tak eskadra latających talerzy, spadki napięcia na wszystkich liniach przesyłowych, żebyście mieli zielone twarze i niski wzrost; ale chłopcy z was w normie, i tylko wasze ciuchy... nie noszą u nas takich. Lepiej sobie idźcie swoją drogą. Nie będzie was, unikniemy kłopotu, będzie spokój.

Jakby urósł im w oczach. Już nie był przedmiotem kontrowersji: rozumny lub nierozumny; był teraz człowiekiem, po prostu był i basta.

– Masz rację, przyjacielu, żegnaj nam do mądrzejszych czasów.

I mocno, bardzo mocno uściśnęli sobie dłonie.

Holm ruszył do wyjścia, w którym jak w ramce purpurowiła się zorza. Widział źle. Nadmiar światła przenikał przez szkła, nakłuwał źrenice. Za nim siedł archeolog. Denerwująco dotykał ramienia Holma. Snadź widział jeszcze gorzej niż łowca. Bo też uczeni mają te oczy jak z guzika. Jakoś jednak doczłapali do piasków pustyni. Przez radio wezwali ekipę do zbiórki na pokładzie promu. I zdążyli przed wschodem słońca.

Tam czekał już na nich szef. Przyleciał nocą. Nie wiadomo po co i na co. Teraz dopytywał się o pierwsze wrażenia, odkrycia, wnioski. Holm tylko tego czekał. Od razu wygarnął, ile miał tchu w płucach:

– Szefie! To są ludzie jak my. Oni są bardziej ludzcy niż my. Ja to mówię!...

